



Mirosław Derecki

CZŁOWIEK BYŁ JAK TEN PTAK...

Cztery razy składał podanie o zwolnienie z funkcji przewodniczącego prezydium motywując prośbę a to złym stanem zdrowia, a to lukami w wykształceniu i za każdym razem spotykał się z kategoriyczną odmową: „Co wy tu z tym papierkiem...! Losy miasta wam Niemile? Gdzie my znajdziemy podobnego człowieka?! Nie, nie zwolnimy was. Zrozumcie...” Kolejne podania znikwały głęboko na dnie biurkowych szuflad. A jedno zostało nawet demonstracyjnie spalone przed nosem „petenta”. Odmowa za odmową, kadencja za kadencją - minęło dwadzieścia lat, jak z bicia strzelił. Ale też w owym czasie miasto Biłgoraj nad rzeką Ładą rozciągnięte, z sitarstwa i ubóstwa z dawien dawna znane, zmieniło się nie do poznania: wystrzeliło w górę nowoczesnymi blokami mieszkalnymi, porosło w rozległe zakłady przemysłowe zatrudniające kilka tysięcy osób. A w tym, że tak a nie inaczej się stało - wielka zasługa jego właśnie, przewodniczącego Prezydium MRN, Kazimierza Ludwika, rodaka tutejszego z dziada pradziada, niedoszłego cieśli, kawalera orderu Virtuti Militari, chłopaka niegdyś młodego, który w świat z rodzinnego miasteczka się wyrwał i byłby pewnie nigdy nie wrócił i swojej cegły do budowy nowego Biłgoraja nie dołożył, gdyby mu wojna obydwu dłoni nie zabrała...

„Szukacie ciekawych ludzi?” spytano mnie w Komitecie Powiatowym.

- „Interesuje was jak ludzie rosną? To spróbujcie pociągnąć za język przewodniczącego Ludwika. Jak się wam uda - nie pożałujecie”. Nie pożałowałem.

Jakiż był ten Biłgoraj przed laty bez mała pięćdziesięciu, kiedy w domu miejscowego cieśli, Feliksa Ludwika, przyszedł na świat syn pierworodny, Kazimierz? Było to miasteczko zagubione gdzieś w lasach Ordynacji Zamojskiej. Drewniane. Przypadłe do ziemi. Błotniste. Osium tysięcy mieszkańców - w tym połowa Żydów - liczące. Biednie żyjące z uprawianego systemem chałupniczym sitarstwa, z handlu drewnem. W centrum miasteczka, na środku rynku, wznosił się piętrowy ratusz, obok niego remiza strażacka z salą, w której wyświetlano filmy. Najbardziej okazały budynek w mieście stał gdzie indziej, przy ulicy Kościuszki - tak zwany „dom Szyrmy”. Był znany i podziwiany, jako że miał... balkony, które przydawały mu wielkomiejskiego szyku.

Ala rodzina cieśli Ludwika mieszkała z dala od owych lokalnych wspaniałości, w tej części Biłgoraja, która nazywała się wówczas Rożnówka Podmłynie, gdzie cicho płynęła rzeka Łada, zaś głośno warczały dwa młyny. Niewielki drewniany domek wystawił własnymi rękami dziadek Marcin, sławny w okolicy nie tylko z tego, że domy sprawnie budował, ale i z chlubnej przeszłości: w młodości zamiast pójść w żołdacy do lasu zbiegł, tam do partii powstańczej przystał - bo właśnie Powstanie Styczniowe się rozpałało - i czynów licznych bitewnych dokonał, o czym chętnie wnukom, a wśród nich Kazimierzowi, opowiadał. Dziadek Marcin z jednej jeszcze rzeczy słynął, a to z umiejętności leczenia koni i kto wie, czy by do pieniędzy w życiu nie doszedł, gdyby nie fakt, że był człowiekiem nieprawomyślnym, dzieci swoje i sąsiadów czytać i pisać po polsku uczył i przez to władze carskie jak mogły utrudniały mu życie. Wywarł wielki wpływ na wnuka Kazimierza i kiedy w dziewięćdziesiątym roku życia zszedł z tego świata, chłopiec długo nie mógł się pogodzić z jego śmiercią.

W takiej oto atmosferze rodzinnej i w takim otoczeniu Kazimierz Ludwik skończył szkołę powszechną i rodzice zaczęli się poważnie zastanawiać, jak pokierować dalej losami syna. Kazimierz chciał się uczyć. Istniały po temu sprzyjające warunki, bo właśnie wówczas, w 1937 roku, Towarzystwo Szkoły Świeckiej zorganizowało pierwsze w historii Biłgoraja gimnazjum, na które szczerze sypnął pieniędzmi ex-rolnik Blacha, co zrobiwszy majątek w Ameryce, na starość w Biłgoraju osiadł, ale Ludwikowie nie dysponowali odpowiednimi funduszami - w domu było pięcioro dzieci, a budowlana konkurencja z roku na rok rosła w siłę. Koniec końców posłano chłopca do dwuletniej szkoły przysposobienia zawodowego, która dawała jakie takie pojęcie o materiałoznawstwie, podstawach rachunkowości, kładła duży nacisk na przysposobienia wojskowe, a tak na dobrą sprawę miała na celu wypełnienie wolnego czasu młodzieży po skończeniu podstawówki, a przed dojściem do pełnoletności.

Najbliższe dwa lata zeszyły więc Kazimierzowi pomiędzy siedzeniem w ławie szkolnej a pomaganiem ojcu w ciesiołce, która - coraz bardziej zdawał sobie z tego sprawę - zupełnie go nie interesowała. Myślał wtedy wiele o ptakach. Chciałby być ptakiem. Jak ptak wylecieć gdzieś daleko z rodzinnego gniazda. Może w niego najbardziej z całej rodziny wrodził się niekonwencjonalizm dziadka?

Wtedy właśnie wybuchła wojna. W połowie września niespełna szesnastoletni wówczas członek „Strzelca” został włączony do grupy młodych ludzi eskortującej podwozy z dobytkiem powiatowej organizacji strzeleckiej - na wschód. W spiekocie i kurzu, wśród cofających się oddziałów polskich wojsk, kilkakrotnie bombardowani i ostrzeliwani przez niemieckie samoloty, wlekli się - w kilka furmanek, na których leżało trochę zużytej broni i dwa motocykle, bo zabrakło benzyny - daleko za Bug, aż pod Luboml, gdzie w pooranym

pociskami lesie, wśród krzyku rannych ludzi, zakończyła się ich krótko trwała przygoda wojenna.

Po ostatnim bombardowaniu w lesie pod Lubomlem koledzy mieli go za zabitego i wiadomość o śmierci Kazimierza przynieśli do domku nad Ładą. Ale chłopak nie był nawet draśnięty. Kiedy w Biłgoraju oplakiwano go, on na grzbiecie ochwaconego konia, którego kupił za osiem złotych od jakiegoś kaprała, włókł się lasami, bocznymi traktami, wspominając dawane przez dziadka nauki o orientowaniu się w terenie - do domu rodzinnego, o którego opuszczeniu jeszcze tak nie dawno marzył... Do Biłgoraja wjechał w niedzielę. W drzwiach domu stał ojciec. Na jego widok rozplakał się.

Mieli więc konia. Ojciec wydzierzawił kawałek ziemi, było ją czym obrabiać, doleciało trochę grosza z cieszności. I tak jakoś się im żyło.

W 1942 roku Kazimierz skończył osiemnaście lat, stał się pełnoletni. Od tego momentu zaczęli się nim interesować Niemcy. Został wzięty na roboty do Rzeszy. Dojechał tylko do Lublina. Nocą przeczołgał się pod drutami obozu przejściowego przy ulicy Krochmalnej, po kilku dniach przemaszerował do Biłgoraja. Znajomy urzędnik z Arbeitsamtu, dobry Polak, Alfred Mroczkowski, „ukrył” go wśród robotników niemieckiego majątku rolnego położonego w okolicy. I tam jednak długo miejsca nie zagrzał. W kilka miesięcy później zabrano Kazimierza do obozu pracy w Niedrzwicy, gdzie spędzeni z okolicy chłopci budowali tory kolejowe. Praca była rujnująca zdrowie, racje żywnościowe - głodowe. Nadzór nad obozem sprawowali osławieni „czarni”, brygadzystami byli najczęściej Polacy zaprzędani Niemcom. Dotychczasowe przejścia Kazimierza Ludwika nie mogły się równać z warunkami, w jakich znalazł się tutaj, w Niedrzwicy. Ale też z drugiej strony on sam zdołał już dobrze okrzepnąć wobec przeciwności losu, stał się czujny, ostrożny, zdecydowany. Te przymioty miały mu się później przydać w wojsku, na froncie. Tymczasem nie umiał jeszcze w pełni opanowywać wrodzonej zadzierzystości: dał się sprowokować sługusowi - brygadziście, walnął go na odlew w pysk. Tamten przejechał mu nożem po żebrach, chłopak chwycił za stołek - rozwalił łeb. Potem dołożył podobnie dwóm następnym, którzy nadbiegli koledze na pomoc. Przybyłe kolejne posiłki wzięły go już sprawnie pod obcas. Odzyskał przytomność po dwóch dniach, w karnym bunkrze, zlany krwią. Ale i tak miał szczęście. Dostał „tylko” 150 dni karnego obozu pracy. Obóz mieścił się w Lublinie, w pobliżu dworca kolejowego. Więźniowie przymierali głodem, wykonywali najcięższe prace po kilkanaście godzin na dobę, byli bez powodu bici i kopani. Kazimierz przez pierwszych dziesięć dni leżał na pryczy - nawet Niemcy uznali, że jest zbyt skatowany, żeby mógł się ruszyć. Jedenastego dnia powlókł się z innymi do ładowania żwiru na platformy kolejowe. Tegoż dnia zdecydował, że jeśli chce żyć, musi zaryzykować ucieczkę. Strażnicy bili więźniów w szczególnie perfidny sposób - żelaznymi drągami przez deskę przykładaną do pleców. Odbijano płuca, nerki, łamano

żebra. Najbliższej nocy uciekł z obozu. Znowu kluczył bocznymi drogami, szedł bez odpoczynku, ustanowiwszy przy tym swoisty rekord: w półtorej doby dotarł w rodzinne strony.

Uszedł Niemcom, ale tym razem był dla swoich już zbyt niebezpieczny. Za pomoc uciekinierowi z karnego obozu groziła śmierć.

W pobliżu domu, w ziemnej skarpie zawieszanej nad rzeką Ładą, wykopał niewielką jamę, wejście zamaskował krzakami. W tej norze krył się jak lis, całymi tygodniami nie oglądając światła dziennego, skradając się nocami do domu po kęs stawy, po ciepłe miejsce przy kominie. W spokojniejszych okresach, gdy wydawało się, że Niemcy o nim zapomnieli, krążył od wsi do wsi, od znajomego do znajomego sypiając czujnym snem po brogach, stajniach.

W lipcu 1944 r. przyszło wyzwolenie. A już w sierpniu dwudziestoletni chłopak z Biłgoraja kolejny raz przemierzał piechotą Lubelszczyznę. Tylko, że tym razem bez strachu, z rekruckim kuferkim na ramieniu. Maszerował do Włodawy, do Warszawskiej Brygady saperów. „Czuł się człowiek wtedy jak wolny ptak” - powiedział po latach o tym dniu do dziennikarza przewodniczący Prezydium MRN w Biłgoraju.

Przewodniczący Ludwik powiada, że wryły mu się na zawsze w pamięć trzy daty, wszystkie związane z okresem pobytu w wojsku. Dziennikarzowi wydaje się, że powinna dojść do tego jeszcze jedna; dzień, w którym Kazimierz Ludwik został gospodarzem miasta Biłgoraja. No, ale to już osobista sprawa przewodniczącego...

17 października 1944 r. w szeregach Samodzielnej Kompanii Zwiadowczej wykonywał nad Wisłą pierwsze zadania bojowe. Trafił od razu na najtrudniejszy odcinek frontu, zastąpił jako doskonały zwiadowca, otrzymywał najtrudniejsze zadania, szybko awansował. Tacy jak on, wybrani spośród setek najodważniejszych, przechodzili specjalne wyszkolenie podobne do wyszkolenia komandosów: strzelanie z różnych rodzajów broni, walka wręcz, umiejętność posługiwania się nożem, doskonale orientowanie się w nocy w terenie, szybkie podejmowanie decyzji. Kiedyś wyratował dwóch kolegów-zwiadowców, pchając łódkę z rannymi kolegami wśród kry, pod gęstym, ogniem nieprzyjaciela. Innym razem, w drugi pamiętny dzień, 25 grudnia 1944 r. spędził wiele godzin na skutej lodem Wiśle w poszukiwaniu ранego przyjaciela z Biłgoraja, również zwiadowcy, który został postrzelony przez nieprzyjaciela. I wreszcie trzecia data, wypadek, który być może zaważył na całym dalszym jego życiu, 17 kwietnia 1945 r. pod Częstochową...

Był już wtedy podoficerem, czuwał nad grupą saperów rozbrajających pole minowe. Jeden z jego podkomendnych, szeregowiec Wieliczko, odkrył minę, której budowy nie znano. W takich wypadkach należało dostarczyć znalezisko do odpowiedniego punktu saperskiego.

Podczas transportu na ów punkt zdarzył się najtragiczniejszy moment w życiu Kazimierza Ludwika: na pozór niewinnie wyglądająca puszką z dynamitem rozerwała mu się w rękach. Nawet nie stracił przytomności, chociaż wybuch w pierwszej chwili ogłuszył go. Więcej ze zdumieniem niż ze strachem patrzył na zwisające w strzępach dłonie, na pęknięte powłoki brzuszne, na wylewające się z jamy brzusznej szare kłęby jelit...

Był bardzo silny. Przeszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków w kierunku punktu opatrunkowego przyciskając poszarpaną ręką ranę na brzuchu. Ale po drodze zasłabł. Osunął się na ziemię przy skrzynce z ręcznymi granatami. Wtedy dopiero przyszła pierwsza silniejsza reakcja: ból, strach, świadomość tego, co się stało, i że na całe życie może zostać inwalidą. W pobliżu nie było nikogo, strzelec Wieliczko popędził po pomoc. Zaświtała w głowie Kazimierza myśl, żeby pozbyć się długich, zapewne bezcelowych mąk w szpitalu. Rękami nie władał, ale mógł jeszcze zębami wyrwać zawleczkę leżącego obok granatu, mógł... Ale nie zrobił tego. Nie dlatego, żeby bał się śmierci. Nie. Nagle zapragnął jeszcze raz zobaczyć Biłgoraj, pójść na grób dziadka. Opowiedzieć mu, jak to się wszystko stało. I jeszcze raz spróbować życia.

Przez kilka miesięcy leżał w podwarszawskim szpitalu otoczony troskliwą opieką dowództwa. Był wszak żołnierzem szanowanym za odwagę, za poświęcenie wobec kolegów, za czyny bojowe. Nie bez przyczyny przyznaje się w wojsku Virtuti. I jak to bywa w wojennych opowieściach - tylko, że w tym wypadku była to najczystsza prawda - miał przy sobie przez cały ten czas ukochaną dziewczynę, która później została jego żoną. I która dała mu czworo dzieci.

1 stycznia 1946 r. chorąży Kazimierz Ludwik po demobilizacji powrócił na zawsze do Biłgoraja. Niczego dotąd w życiu nie robił poza ciesiołką i wojowaniem. Ale nawet za siekiere nie mógł chwycić - nie pozwalał na to stan rąk. Cechowała go za to inteligencja, miał silną wolę, na wojnie nauczył się współżycia z ludźmi i umiejętności kierowania nimi. Zaczął skromnie, od referenta zaopatrzenia wewnętrznego w Biłgorajskim Przedsiębiorstwie Budowlanym. Zaczął też działać na niwie społecznej. Wkrótce wybrano go na przewodniczącego organizacji związkowej w przedsiębiorstwie. Został prezesem miejscowego oddziału Związku Inwalidów Wojennych, wkrótce potem powierzono mu społeczną funkcję radnego Miejskiej Rady Narodowej. W dzień pracował, popołudniami dawał się poznać jako doskonały działacz społeczny, nocami siedział nad podręcznikami. Jeżeli w czasach wczesnej młodości marzyły mu się ptasie odloty z rodzinnego miasta, to teraz z pełną świadomością i przekonaniem usadawiał się właśnie tutaj, w Biłgoraju. Jak w gnieździe.

W 1952 r. wybrano go przewodniczącym Prezydium MRN. Miejskowe społeczeństwo miało do niego zaufanie. Sprawdził się jako doskonały organizator, człowiek pełen

poświęcenia, aktywny członek partii od 1947 r. Na tym stanowisku pozostał dwadzieścia lat. Za wkład w rozwój Biłgoraja przypięto mu w 1958 r. na piersi obok Virtuti, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Niechętnie mówi o swoich powojennych osiągnięciach. „No cóż, pracowało się po prostu i przecież nie sam człowiek pracował, wielu ludzi pomagało. Czy ja wiem jak bym sobie dał radę na przykład bez pierwszego sekretarza KP, towarzysza Dechnika...? Bez entuzjazmu miejscowej ludności?” „No dobrze - powiedziałem - ale przecież wiele zależy od tego jednego człowieka, który potrafi właściwie ukierunkować i dobre chęci i zdolności i zapał innych. W danym wypadku od człowieka umiającego nadać odpowiedni „ton” miastu... Ma pan dwudziestoletnie doświadczenie. Co zdaniem pana powinno cechować dobrego przewodniczącego?” Zamyślił się przez chwilę. „Wie pan, ja sądzę, że to powinien być przede wszystkim człowiek wrażliwy na ludzkie sprawy. Zwłaszcza na tym stanowisku trzeba umieć rozumieć ludzi. Dopiero na następnym miejscu wymieniałbym zdolność posiadania własnej inicjatywy i organizatorską smykałkę. Biłgoraj rozrósł się nam niepomierne. Tuż po wojnie był to przysłowiowy obraz nędzy i rozpaczy. Miasto w osiemdziesięciu procentach zniszczone. Brak zakładów pracy. Słabe gleby. Rozdrobnione gospodarstwa. Dzisiaj mamy 15 tysięcy mieszkańców, powstała nowoczesna Spółdzielnia Sitariska i Baza Prefabrykacji Włosia. Zakłady Dziewiarskie „Mewa” zatrudniają ponad tysiąc osób, a już buduje się „Mewa II” w której będzie pracowało ponad dwa tysiące ludzi, już powstaje filia „Mewy” w Leżajsku na Rzeszowszczyźnie. Dziewiarskie zakłady „Bitra” dają pracę 600 kobietom. Rozwinął się potężnie Oddział Wikliniarski Spółdzielni Włosia, działa pełną parą Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane. No i stawiamy domy mieszkalne. Ludzie przez kilka lat nieobecni w Biłgoraju, później nie poznają go. Ale też ciągle jeszcze nie rozwiązana kwestia mieszkaniowa to nasza główna bolączka. Mamy tutaj budownictwo państwowe i zakładowe, 2 spółdzielnie mieszkaniowe, 2 spółdzielnie budowy domków rodzinnych, w blokach zbudowanych przez miasto mieszka ponad trzy tysiące osób, ale to wciąż mało i mało wobec narastających potrzeb. W przyszłym roku wybudujemy znowu 6 bloków mieszkalnych i wtedy zacznie się kolejny kontredans: komu dać mieszkania, jak wyłować z rzeszy bardzo potrzebujących tych najbardziej potrzebujących. Jakie mam wówczas zastosować kryteria wrażliwości wobec ludzkich potrzeb, jak mam najrozsądniej wniknąć w ludzkie sprawy? To są właśnie najważniejsze z gatunku pytań, jakie od dwudziestu lat zadaję sobie jako przewodniczący...”